

*O pochodzie, wacie i zaklęciu w smutku,  
czyli jak dać SOBIE szansę na szczęście*

Pamiętam, kiedy miałam pięć, może sześć lat i z utęsknieniem czekałam na dzień, w którym razem z tatą wyruszę na pochód pierwszomajowy. Już dużo wcześniej mama prasowała mój ulubiony T-shirt z wesołą naklejką i nowe, bajecznie (i jakże nieadekwatnie do czasów) kolorowe szorty otrzymane w prezencie od taty po powrocie z Libii. I chociaż wieczór poprzedzający to wydarzenie był dla mnie o wiele krótszy niż pozostałe, wiedziałam, że następnego dnia przeżyję cudowne i niezapomniane chwile. I nie chodziło wcale o sam „powód” pochodu. Wtedy i tak niewiele z tego wszystkiego rozumiałam. Chodziło o sam fakt czekania na niego przez cały rok; o mnóstwo atrakcji – począwszy od cukrowej waty, przez pieczone kiełbaski, balony, lody i całokształt różności kryjących się pod lakonicznym hasłem: „Atrakcje dla dzieci”. Dzisiaj pewnie niewiele z tych dobrodziejstw byłoby w stanie zawrócić komukolwiek w głowie, ale wtedy... to było naprawdę coś! Tak więc po całorocznym wyczekiwaniu, mogłam wreszcie mocno uścisnąć dużą i spracowaną dłoń taty, i dumnie kroczyć w pochodzie, zatapiając się bez reszty w klejącej wacie, ciesząc promieniami słońca i pięknymi kolorami, których na co dzień nie było wokół zbyt wiele. Pochód w końcu minął, ale ja długo jeszcze nie mogłam o nim zapomnieć i z wypiekami na twarzy wracałam do tamtych wspomnień wielokrotnie. Podobnie było z wyjazdami do chorzowskiego zoo czy na wycieczki z zakładu pracy moich rodziców. Ależ się na to czekało! Z czasem jednak wielka radość ustąpiła miejsca umiarkowanej. W wielu kwestiach. No, może poza wakacjami. Można by pomyśleć, że spośród wszystkich, którzy mogą ich bardzo długo oczekiwać, a potem zawsze (za) krótko się nimi cieszyć, nie ma chyba nikogo, kto nie cieszyłby się na myśl o nich. A jednak! Już pierwszy dzień tegorocznych letnich ferii nie układał się tak, jak powinien. Pogoda, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, „bez protestu” ustąpiła miejsca jesiennej aurze, wprawiając w osłupienie i jesienną depresję nawet największych optymistów. Trudno było się cieszyć, kiedy patrząc za okno, chciało się jedynie spać. Kolejny dzień nie przyniósł wielkich zmian, a i następne nie były lepsze. Najpierw jakaś zła wiadomość, potem kolejna... Z uporem maniaka chciałam odczarować rzeczywistość, która jednak okazała się wyjątkowo oporna. Nawet mój pies zdawał się już nie interesować swoimi ulubionymi przysmakami. Wszystko było nie tak. Na dodatek przygniatała mnie myśl, że... nie zobaczę tych, którzy na co dzień dawali mi prawdziwą radość i chęć do działania. Niektórych – już w ogóle. To było straszne! Nie tyle faktyczny stan rzeczy (bo przecież wakacje nie odbierają możliwości spotkania z przyjaciółmi, a wręcz przeciwnie), ile projekcja w mojej głowie. Negatywnie widziałam wszystko, co było w zasięgu wzroku. A jeśli nawet nie miałam pewności, jak się to skończy, i tak podejrzewałam, że... skończy się źle. „Hej, a jeśli to, co się już stało, zdarzyło się po coś i wcale nie jest takie złe, na jakie wygląda? Może to ty oceniasz

(ze swojej perspektywy), że jest niedobre i niepotrzebne, a tak naprawdę - stało się po coś? Może właśnie dzięki temu zdarzy się coś, co da ci nową siłę i wniesie w Twoje życie zupełnie nową energię? A może to, o czym myślisz, że skończy się źle, w ogóle się nie zdarzy? To co wtedy? Po co zamartwiasz się tym, co może się stać albo tym, co już się stało? Musisz iść dalej, patrzeć przed siebie. Nie za siebie, ale też nie tysiąc mil przed, tylko blisko, całkiem niedaleko przed siebie” – upomniała mnie osoba bliska sercu. „A jeśli nie dam rady”? – pomyślałam. I wtedy właśnie przypomniał mi się pochód. Czekałam na niego i potrafiłam się nim szczerze cieszyć. Nie tworzyłam wizji, co się stanie, jeśli będzie padał deszcz, jeśli nie będzie waty cukrowej, a ulubione lody przyczynią się do bólu brzucha. Nie myślałam o tym, co będzie, gdy się zgubię, ani o tym, co się stanie, jeśli tata w pośpiechu w ogóle zapomni mnie zabrać (niczym Kevina)... Umiałam cieszyć się tym, co wokół, nie analizując tego, co już się zdarzyło (nawet, jeśli nie było najwspanialsze, ponieważ z perspektywy czasu okazało się cenną lekcją) ani tego, co może nadejść, a może nie. Tak bardzo zatęskniłam za niewymuszonym szczęściem; za tym, żebym umiała patrzeć i dostrzegać, słyszeć, czuć i uśmiechać się. Bym nie dała się zwieść głuchym podszeptom losu, który nie zawsze opowiada tylko dobre bajki lub śpiewa jedynie piękne serenady. Tęskniłam za uśmiechem, za dobrym słowem, za smakiem... życia (już nie waty). Tęskniłam też za słońcem. Tym na niebie, i tym w myślach. I w sercu. I tęskniłam za samą sobą, chyba najbardziej. Za czasem, kiedy prawdziwie umiałam się cieszyć. Nie miałam wiele, a może... właśnie wtedy miałam najwięcej?

A Wy? Jak macie? Teraz, kiedyś, w ogóle? Czy umiecie się cieszyć tym, co posiadacie, czy czasami przerasta was rzeczywistość i macie ochotę się z niej wylogować? Czy ciągle drzemie w was ten mały, wesoły ktoś z prasówką na brzuchu, umorusany lodami i kurzem, czy może ktoś, kto po spojrzeniu w lustro wydaje się wam zupełnie obcy? Czy macie blisko kogoś, kto nie pyta na siłę; kto uśmiecha się do was szczerze, płacze z wami i śmieje się nie wiadomo z czego; na kim możecie polegać jak na Zawiszy? A może był ktoś tylko przez chwilę, ale zawiódł, poszedł w inną stronę albo pozwolił wam odejść, nie mówiąc nawet, dlaczego? Bez względu na to, gdzie jesteście... BĄDŹCIE. Tu i teraz. Bądźcie dla siebie. Dla innych. Dla mnie. Bądźcie tymi, którzy świecą niczym największe słońce, nawet wtedy, gdy pochmurno i mokro. Bądźcie radośni, spontaniczni i podekscytowani. Światem i życiem. A nade wszystko nie pozwólcie, by opuściło was „wewnętrzne” dziecko – wesołe, szalone, kochające, zachwycające się; które cieszy się perspektywą tęczy, nawet jeśli nic jej nie zapowiada. Bo czy zapowiedź szczęścia zawsze musi być... zapowiedziana?

M. S.